

Anne Bernet

Święty Ambroży

i jego czasy

przełożył z francuskiego

Piotr Tylus

Wprowadzenie

Pierre de Labriolle – bardzo znany biograf św. Ambrożego na początku XX wieku – świadomie nie chciał dopatrywać się w nim wielkiego teologa ani wielkiego pisarza, choć został on uznany na równi ze św. Hieronimem, św. Augustynem i św. Grzegorzem za jednego z czterech Ojców Kościoła zachodniego.

Zaprzeczenie tej ocenie należy do sporów między specjalistami. Osobiście nie jestem w stanie przeciąć tej kwestii, gdyż brakuje mi wystarczającej formacji zarówno w dziedzinie teologii, jak i w zakresie znajomości piśmiennictwa łacińskiego, i zostawiam ten trud wytrawnym znawcom tematu, posiadającym o wiele większe kompetencje, niż ma to miejsce w moim przypadku. Pisząc tę książkę, chciałam jedynie stosować się do porad, które przywoływany tutaj Pierre de Labriolle sformułował na użytek przyszłych biografów św. Ambrożego:

Postrzeżenie tej postaci wyłącznie na tym planie [teologicznym i literackim] jest częściowo rozwiązaniem błędnym. Należy odtworzyć w wyobraźni to jakże harmonijne życie, jakże uporządkowane, należy również przestudiować i zrozumieć jego epokę, a wówczas, na tle tych niespokojnych czasów, powoli zacznie odsłaniać się przed nami sylwetka Ambrożego jako mężczyzny z krwi i kości, posiadającego właściwy sobie urok. Nie miało znaczenia, że na polu intelektualnym stanął po stronie szkoły greckiej, bo i tak na jego osobowości i obyczajach kultura rzymska odcisnęła bardzo wyraźne piętno. Ogromna siła woli, wytrwałość w realizacji przyjętych planów, wewnętrzna dyscyplina, poczucie tego, co praktyczne i możliwe do zrealizowania – Ambroży wszystkie te

cechy posiadał, wzmocnił je w najwyższym stopniu i sprawił, że swym światłem promieniowały na innych.

Celem tej książki nie jest nic innego, jak tylko naszkicowanie takiego portretu, ukazanie tej postaci „jako mężczyzny z krwi i kości, posiadającego właściwy sobie urok”.

Rozdział pierwszy

Dzień jak każdy inny w Rzymie

Rzymska procedura sądowa nie należała do łagodnych, a w kwestiach karnych stosowanie tortur podczas przesłuchania było częste, pospolite, wręcz banalne. Pewien dostojny sędzia przywykł do tej brutalności, mając do czynienia z dużą ilością podejrzanych i oskarżonych, których doprowadzano przed jego trybunał. A przynajmniej tak mu się przez długi czas wydawało... Jednak, stosując już od ponad roku, i to w sposób nieubłagany, edykty promulgowane przez boskiego Dioklecjana przeciwko ohydnej sekcje chrześcijan, nie przestawał odczuwać zdziwienia, niezrozumienia, bezsilnego gniewu na widok przedziwnego i samobójczego uporów tych ludzi. Bo przecież czego takiego od nich żądano, co wydawało im się nie do przyjęcia? Rzucenie na ołtarz bogów kilku ziarenek kadzidła... Nie żądano od nich, by w to wierzyli. Chodziło jedynie o sprawienie pewnego wrażenia, o udowodnienie przez ten prosty gest ich przywiązania do Rzymu i boskich cesarzy, gest uśmierający gniew i będący wyrazem dobrej woli. Czy był to znowu aż tak wielki przymus, tak odrażająca rzecz, że lepiej było ponieść śmierć w największych męczarniach niż przed tym się ugiąć?

Oczywiście od czasu do czasu któryś z nich dawał się złamać i dopełniał tego rytuału. Rzecz zastanawiająca: często byli to ludzie, którzy po przyprowadzeniu do pretorium najgłośniej krzyczeli, wyrażając swoje niewzruszone przywiązanie do tego *Chrystusa*. Prawdziwa faryfaronada – często była ona maską, pod którą skrywał się paniczny

strach. Mając do czynienia z tego rodzaju krzykaczami, niemal zawsze wystarczyło na nich wrzasnąć, wypowiedzieć jakieś groźby, wskazać palcem na rozgrzewające się do czerwoności szczypcy i obcęgi, leżące na żarzących się węglach. Ci nawiedzeni krzykacze pokornie natychmiast:

– Tak, Panie, oddam cześć bogom!

Drżącą dłonią składali ofiarę i pospiesznie znikali, próbując przecisnąć się przez szydzący z nich i pogardliwy tłum, i unikając jednocześnie spojrzeń swych dawnych towarzyszy, spojrzeń pełnych wyrzutu i litości.

Po pewnym czasie sędzia nauczył się w szeregach oskarżonych wyławiać tych, którzy byli naprawdę nieustępliwi: uparci, lecz łagodni, nie przestawali zwracać się do niego z szacunkiem, a jednak niewzruszenie powtarzali te słowa:

– Mam złożyć bożkom ofiarę? Nie, Panie, nie mogę tego uczynić...

Mogło się nawet wydawać, że było im przykro, kiedy czynili sędziemu ten afront, ale trzymali się twardo, uparcie trwali przy swoich absurdalnych przekonaniach. Bandy tych nędzników tworzyli niewolnicy, wyzwolenicy, obcokrajowcy i z reguły bardzo niezamożni obywatele, jednak czasem dołączali do nich patrycjusze, do tych chrześcijan, do tych zdrajców wobec Miasta, Cezara i obowiązujących praw. Ci ostatni mierzyli sędziego od stóp do głów, mając w sobie butę swoich przodków, zrodzoną przez władzę i pieniądze, patrzyli na niego wyzywająco – bohaterowie jak legendarny Horacjusz Kokles czy równie legendarny Gajusz Mucjusz Scewoła. Sędzia zadawał sobie pytanie, jak to możliwe, żeby ci ludzie, należący do rodzin podobnych do jego rodziny, wychowani tak jak on sam był wychowany, urodzeni, by służyć Rzymowi i tylko Rzymowi, mogli tak pobłądzić i godzić się na śmierć za tego boga ze wschodu, który, jak powiadano, był jedynie zwykłym żydowskim cieślą, ukrzyżowanym za czasów Tyberiusza... Absurdalna, próżna i śmieszna odwaga!

Prawdę powiedziawszy, w trakcie tych posiedzeń dla sędziego czymś najgorszym była obecność kobiet. Powszechnie uważane za istoty słabe, bardzo delikatne, bezbronne, niewykształcone, a jednak ze wszystkich oskarżonych to ich właśnie należało bać się najbardziej. Znajdowały w sobie niesłychaną brawurę, o którą trudno było je podejrzewać, choć sędzia nie wiedział, gdzie tkwiło jej źródło, i na nic się zdawały groźby i tortury. Kiedy kończył ze stosowaniem tych

zwyczajowych metod, nieraz był złamany na duchu i przerażony, że musiał uciec się do takiego okrucieństwa. Nawet groźba, że zostaną wydane do domów publicznych, nie była w stanie ich przerazić... Kilka tygodni wcześniej pewna młoda dziewczyna, którą starał się przekonać, żeby miała litość nad sobą, z całkowitym spokojem udzieliła mu takiej odpowiedzi:

– Prosisz mnie o rzecz niemożliwą, Panie. Na co by mi się zdała moja czystość, gdybym musiała wyrzec się mego Zbawcy, by ją zachować?

Wszystkie stawiały mu opór, stosując tak nieoczekiwane argumenty, że zadawał sobie pytanie, kto podsuwał im równie celne odpowiedzi, kiedy zamykały mu usta pomimo długich lat spędzonych przez niego na studiowaniu retoryki i prawa. Od Antiochii po Mediolan, od Aleksandrii po Rzym, od Nikomedii po Ateny – wszędzie rozgrywały się podobne sceny, a dziesiątki rzymskich sędziów na próżno uciekało się do swojej władzy, stosując środki przymusu na tych dziewczynkach wprawdzie drżących ze strachu, ale niewzruszonych w dokonanych przez siebie wyborach, które musieli uśmiercić, choć ich sumienie nigdy później nie mogło zaznać spokoju.

Tamtęego dnia przesłuchiwanie oskarżonych przeciągało się w nieskończoność. Kto mógł przypuszczać, że było tylu chrześcijan w Rzymie oraz w innych częściach Imperium? Nagle jeden z żołnierzy wprowadza do pretorium pewną kobietę, brutalnie ją popychając. Chwieje się na nogach pod ciężarem zbyt ciężkich, jak na nią, łańcuchów. Sędzia spogląda w jej kierunku i ciężko wzdycha. Jest bardzo młoda, jak również bardzo piękna i z całą pewnością pochodzi z wysokiego rodu. Ciąg dalszy tej sceny może jedynie być bardzo nieprzyjemny, tak bardzo, jak to tylko możliwe.

Dziewczyna z rodu Aureliuszów. Niestety, owa sekta bez wątpienia znajduje swych adeptów wszędzie. Tak, pod rządami Marka Aureliusza za przynależność do tej zabronionej religii skazano na śmierć przedstawicielei rodów Cecyliuszów i Waleriuszów. Już w czasach Nerona za przyznawanie się do tego *Chrystusa* poniosło śmierć kilka wielkich rzymskich osobistości, niektórzy senatorowie, a wśród nich Pudens, ale dopiero teraz po raz pierwszy przyłapano kogoś z rodu Aureliuszów na gorącym uczynku: na praktykowaniu chrystianizmu. Czy naprawdę już nikt nie jest w stanie uchronić się przed tą plagą? Niesie wieść, choć nikt nie ośmieliłby się powiedzieć tego głośno, że

sama Augusta¹ oraz jej córka podobno stały się chrześcijankami... W ostateczności coś takiego jeszcze ujdzie. W końcu Dioklecjan to tylko zwykły żołnierz, który wyszedł z szeregu, syn kolonów z Ilirii, choć robi wszystko, by o tym zapomniano. Ale Aureliusze! Ród tak stary i krew tak czysta! Ród godzien wszelkiej czci, który wydał szlachetną Aurelię, dostojną matkę boskiego Juliusza.

Na widok owej dziewczyny sędzia prostuje się na swym siedzisku, przyjmuje postawę wyczekującą. Czuje, że ma już tego wszystkiego dosyć, czuje, jak ogarnia go zdziwienie, dezaprobata i gniew. Bo czy nie ma powodów do zdenerwowania? Wszak widzi tych patrycjuszy zdradzających państwo, oddających się jakiemuś obcemu bogu, kiedy ludzie tacy jak on skromnie, z odwagą i na co dzień walczą o to, aby Rzym trwał w pomyślności. Patrzy na tę młodą dziewczynę. Jest jeszcze piękniejsza, niż mu się wydawało na początku. Nieśmiertelni bogowie, czy ktokolwiek ma prawo być tak pięknym i jednocześnie chcieć umrzeć? Tak pięknym... Przecież ona nie ma więcej niż szesnaście lat. Sama myśl, że będzie musiał skazać ją na śmierć, przyprawia go o mdłości.

– Jesteś z rodu Aureliuszów, nieprawdaż?

Podnosi ku niemu swe oczy, w których każdy mężczyzna utopiłby się z radością. Następnie odpowiada spokojnym głosem:

– Tak, jestem jedną z nich. Mam na imię Sotera.

Samo imię stanowi już wyznanie wiary: córka Zbawiciela. Jedynie chrześcijanie nadają swym dzieciom te mistyczne imiona, zaludniając swoje domy Czystością, Światłością, Miłosierdziem, Pokojem, Mądrością...

– Powiedz, dziewczyno, jesteś chrześcijanką?

Nie waha się nawet przez chwilę. Odpowiedź tryska z jej serca, mówi głośno i wyraźnie:

– Tak, jestem chrześcijanką.

Sędzia wstaje z miejsca, schodzi z podwyższenia, na którym zasiadał. Robi kilka kroków w kierunku dziewczyny. Jest olśniony jej urodą i zdaje sobie sprawę, że nieporadnie ukrywa zmieszanie. Unieść taką młodość, taką grację, taką dumę... Koniecznie musi nauczyć to głupie dziewczę rozumu. Widzi w niej przede wszystkim patrycjuszkę i wie doskonale, jak bardzo jej krewni chełpią się swym przesławnym urodzeniem. Ta duma jest właściwa także kobietom i bez wątpienia

¹ Tytuł rzymskiej cesarzowej (przyp. tłum.).

ona ją w sobie nosi, nawet jeśli jest chrześcijanką. Duma rodowa, której przeciwko niej użyje, bo przecież domyśla się, że żadne groźby nie będą w stanie nią zachwiać.

– Ty, jako jedna z Aureliuszów, jesteś chrześcijanką! Czy nie odczuwasz wstydu?

Dziewczyna nieco podnosi swą piękną, delikatną głowę, w tej samej chwili, kiedy odpowiedź wypływa z jej ust:

– Nie, nie wstydę się.

Wypowiedziała te słowa z taką hardością... Gniew, który sędzia tłumił w sobie od dłuższego czasu, teraz znajduje ujście. Szybkim ruchem ręki uderza tę olśniewającą twarz, która mąci jego spokój. Uderzył mocniej, o wiele mocniej, niż zamierzał. Ze wstydem spostrzega, że dziewczyna krwawi. Swym wielkim i ciężkim, złotym pierścieniem ekwity rozciął jej wargę.

Sotera oblała się purpurą, jej piękne oczy błyszczą od łez, które stara się powstrzymać. Nie tyle z powodu bólu, co ze wstydu. Publicznie spoliczkowana jak zwykła niewolnica, która zrobiła coś złego. Mężczyzna widzi jej zmieszanie i doskonale je rozumie. Zatem nie mylił się: pod płaszczykiem chrześcijańskiej pokory kryje się duma wielce dostojnej członkini rodu Aureliuszów.

– A czy teraz wciąż nie odczuwasz wstydu?

Po policzkach dziewczyny płyną łzy, ale w niczym nie ujmują jej urody. Odpowiada, krzycząc:

– Nie, nie wstydę się! Możesz mnie dalej bić, jeśli chcesz, bij! Przy najmniej uwolnisz mnie od tego ohydneho piękna, które ściąga spójrzenia mężczyzn i popycha ich w grzech.

Ale gniew sędziego zdążył już opaść. Z nich dwojga to on powinien najbardziej się wstydzić i odczuwać zakłopotanie. Odwraca się na pięcie, ciężko wzdychając, wchodzi na podwyższenie i zajmuje swoje miejsce.

– Przyznajesz się, że jesteś chrześcijanką. Wiesz, że jest to przeciwne naszym prawom. Na mocy edyktów boskiego cesarza zapytuję: czy chcesz ofiarować bogom?

– Nie.

Ta odmowa jest już wystarczająca, żeby sędzia skazał dziewczynę na śmierć, jednak nie decyduje się jeszcze na ten krok. Mimo wszystko być może przecenił jej siłę i odwagę... W zanadrzu ma kilka argumentów, które mogą nauczyć ją rozumu.

Święty Ambroży i jego czasy

– Wychłostać ją!

Mocno splecione, twarde skórzane rzemienie, zakończone ołowianymi kulkami lub niewielkimi odłamkami kości, złamały wolę niejednego człowieka. Sędzia widział ludzi bardzo szybko osuwających się z nóg pod takimi uderzeniami. Czyż to możliwe, że ta wątła dziewczyna mogłaby się nie ugiąć?

Uderzenia następują jedno po drugim, ale ich jedynym skutkiem jest masakrowanie jej młodego ciała. Sędzia jako pierwszy ma dosyć tej bezużytecznej brutalności. Przepęłniony nagle głębokim szacunkiem ponownie zadaje to samo pytanie:

– Pytam raz jeszcze, dziewczyno: czy zechcesz ofiarować bogom, przez wzgląd na litość dla samej siebie i dla twojej rodziny?

– Nie.

Gdyby teraz mu ustąpiła, być może byłby nawet rozczarowany. Jednak, by przestrzegać form postępowania i aby nie musiał sobie niczego wyrzucać, raz jeszcze nalega:

– Dziewczyno, czy jesteś tego pewna? Jeśli będziesz trwać w swoim uporze, będę musiał skazać cię na śmierć, wiesz o tym.

Przedziwny uśmiech pojawia się na zakrwawionych ustach torturowanej dziewczyny:

– Wiem, Panie.

Sędzia potrząsa głową:

– A mimo wszystko odmawiasz...

– Tak, Panie, odmawiam.

W niecałą godzinę później piękna głowa wielce dostojnej Aurelii Sotery potoczyła się w świeżą, wiosenną trawę przy Via Appia. Ciało młodej męczennicy zostało pogrzebane w katakumbach, które jej rodzice otwarli dla prześladowanych braci, gdzie oczekuje na zmartwychwstanie.

Było to 10 lutego, roku 304.

Rozdział drugi

Wielce dostojny Aureliusz Ambrozjusz

W chwili, gdy spadała głowa błogosławionej dziewicy Sotery, kto mógł przypuszczać, że niecałe dziesięć lat później przynależność rodu Aureliuszów do Kościoła stanie się dla nich cennym atutem, zamiast ich dyskredytować?

Zrodzony z chrześcijańskiej matki – Heleny i z zachodniorzymskiego cesarza – Konstancjusza Chlorusa, który nigdy nie zamierzał skrywać swych sympatii wobec religii swojej małżonki, cesarz Konstantyn był człowiekiem, który w głębi duszy odczuwał potrzebę wierzenia w coś, wierzenia z całych sił. Jego postawa nie różniła się od postawy jemu współczesnych. Rodzący się wówczas IV wiek był okresem wiary. Pozostawało jeszcze ustalić, jakiej wiary...

W ciągu ostatnich trzystu lat w Cesarstwie Rzymskim dokonała się głęboka przemiana w dziedzinie myśli. Definitywnie odrzucono koncepcje filozofów ateistycznych – te wszystkie doktryny sprawdzające śmierć do stanu wiecznego snu, pozbawionego świadomości. Rzymianie zapragnęli, aby byli jacyś bogowie, którzy zatroszczą się o ludzi. Chcieli dla siebie ratunku i zbawienia. Izyda, Mitra, Niezwyciężone Słońce – wszystko wydawało się im odpowiednie, byleby tylko bóstwo obiecało swym czcicielom lekarstwo, które według Sofoklesa dla człowieka było niedostępne: lekarstwo, które wyzwoliłoby nieszczęśliwą ludzkość od śmierci. Dawny obywatelski kult Rzymu

i Augusta² szybko okazał się niewystarczający do zaspokojenia tej potrzeby i całkowicie pozbawiony mocy. Każdy marzył o tym, by nawiązać z bogami relację jedyną w swoim rodzaju, relację osobistą. Wykształcone elity kierowały swą uwagę ku monoteizmowi. Wszyscy w coś wierzyli i wszystkie wierzenia były tolerowane.

Z wyjątkiem jednej tylko religii, którą była wiara w Chrystusa.

Konstantyn z pewnością mógłby wiele powiedzieć o przyczynach nienawiści wobec tej wiary, którą wyznawała jego ukochana matka. Pomimo grubej warstwy zewnętrznych pozorów, które sprawiały, iż można było uważać go za doskonały produkt rasy wojaków zdolnych siłą uchwycić się władzy, ten młody człowiek w najmniejszym stopniu nie był głupcem. Biada każdemu, kto nie domyślał się, że pod jego zbroją i hełmem skrywa się człowiek o niezwyklej inteligencji, posiadający subtelność myślenia, dzięki której rzadko kiedy popełnia błąd. Te zalety pozwoliły Konstantynowi szczęśliwie przeżyć okres młodzieńczy, któremu towarzyszyły przeróżne niebezpieczeństwa.

Urodził się w Ilirii, w roku 280³, kiedy jego ojciec został wyznaczony przez Dioklecjana jako jeden z dwóch następców tronu. Uroczyście powierzono go opiece cesarza, aby mógł dokończyć swoją edukację na dworze w Nikomedii. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wówczas stał się po prostu zakładnikiem. Życie Konstantyna, który był najstarszym synem Konstancjusza, miało gwarantować roztropność, posłuszeństwo i wierność ojca.

W wyrafinowanej i niebezpiecznej atmosferze cesarskiego dworu chłopiec nauczył się milczeć i ukrywać to, co naprawdę myśli. Zapomniałszy chrześcijańskie modlitwy, których jako małe dziecko nauczył się, siedząc na kolanach matki, stał się czcicielem Niezwykłego Słońca. Idąc za przykładem wszystkich innych dworzan, przyjął wschodnie obrzędy, które z władcy czyniły boga. Padał przed nim na twarz, czcząc w nim ucieleśnienie Jowisza, najwyższego i najlepszego z bogów.

² Tytuł używany przez rzymskich cesarzy (przyp. tłum.).

³ Data urodzin Konstantyna wzbudza kontrowersje wśród historyków; niektórzy utrzymują, że urodził się znacznie wcześniej, a inni twierdzą, że po roku 280 (przyp. tłum.).

Dioklecjan zaprowadził tetrarchię, czyli podział władzy cesarskiej na czterech tetrarchów⁴, w nadziei położenia kresu wojnom domowym, które przez cały III wiek rozdzierały Rzym i zagrażały jego istnieniu. Ale Galeriusz, mianowany cezarem we wschodniej części Imperium, nie miał najmniejszej ochoty (kiedy nadeszła odpowiednia chwila) dzielić się władzą z kimkolwiek, a zwłaszcza z Konstancjuszem – jego odpowiednikiem w zachodniej części Cesarstwa. Poprzysiągł, że się go pozbędzie. Na nieszczęście dla Galeriusza Konstancjusz był człowiekiem nieskazitelnym. Nigdy nie dokonał czynu, który mógłby splamić jego dobre imię i okryć go niesławą. Jedna tylko sprawa kładła się cieniem na przykładnej karierze tego człowieka: pierwsze małżeństwo, które zawarł w młodości z chrześcijanką. Każdy doskonale wiedział, że pomimo rozvodu, którego Dioklecjan od niego zażądał, i zawarcia pod przymusem ponownego małżeństwa, nawet jeśli Konstancjusz wypędził od siebie Helenę, to nigdy nie przestał jej kochać. I ten właśnie fakt Galeriusz postanowił wykorzystać, by doprowadzić do jego zguby.

W sposób niezwykle przebiegły i wyrachowany zaczął przekonywać cesarza, jak wielkie niebezpieczeństwo dla państwa stanowią chrześcijanie. Przez dwadzieścia lat Dioklecjan niczego nie zmieniał w polityce tolerancji zaprowadzonej przez Aureliana i zostawiał w spokoju uczniów tego *Chrystusa*. Nawet jeśli zdawał sobie sprawę, iż są oni bardzo liczni we wschodniej części Imperium, i nawet jeśli wiedział o nawróceniach na tę wiarę, które dokonywały się w samej Italii, to w sumie nigdy go to nie obchodziło. Aż tu nagle Galeriusz zaczął donosić mu o coraz bardziej niepokojących faktach: o przypadkach niesubordynacji w armii czy o odmowie oddawania cesarzowi czci boskiej. Wyroczenie zajęły to samo stanowisko, a Galeriusz nie szczędził pieniędzy ich kapłanom. Mówiono już jedynie o gniewie bogów gotowych odwrócić się od Cesarstwa, w którym panoszyło się bezbożnictwo. Ale ponieważ Dioklecjan nie był jeszcze do końca przekonany o niebezpieczeństwie, jakie mogli dla niego stanowić zwolennicy tego *Chrystusa*, w sposób zupełnie nieoczekiwany i niezrozumiały w różnych częściach rezydencji cesarskiej każdej nocy zaczęły nagle wybuchać pożary. Cesarz się wystraszył. W lutym 303 roku Dioklecjan wydał pierwszy edykt, który odbierał chrześcijanom prawo do zgromadzeń i na mocy którego wszystkie dobra Kościoła miały być skonfiskowane. Galeriusz zdziwił

⁴ Dwóch *augustów* i dwóch cesarów – władców niższej rangi (przyp. tłum.).

się bardzo i wpadł we wściekłość, gdy Konstancjusz wprowadził to prawo w podległych sobie prowincjach: w Galii, Brytanii, Hiszpanii. Wtedy ów cesarz ze Wschodu podbił stawkę i nakłonił Dioklecjana do wydania jeden po drugim trzech innych edyktów, a każdy z nich był coraz dotkliwszy. Ostatni z owych edyktów wymagał, pod karą śmierci, od wszystkich mieszkańców Cesarstwa składania bogom ofiary. To właśnie na podstawie tego prawa błogosławiona Sotera została ścięta.

Konstancjusz odważył się nie wprowadzać tych edyktów, kładąc swoje życie na szali. Jednak wyczerpany i starzejący się Dioklecjan, pomimo że poinformowano go o tym akcie nieposłuszeństwa, nie zgodził się ukarać jednego z przyszłych cesarzy, gdyż wiedział, że ma on mocną pozycję i dysponuje najlepszymi rzymskimi legionami, a jego żołnierze są gotowi dać się dla niego posiekać na kawałki. Plany Galeriusza spaliły na panewce.

W roku 306 prześladowania same z siebie ustały, tak jakby ta rzeka krwi zmęczyła katów bardziej niż ofiary.

Sześć lat później, w październiku 312 roku, druzgocące zwycięstwo odniesione przez Konstancyntyna przy Moście Mulwijskim wydało Rzym w jego ręce i uczyniło go jedynym panem cesarstwa oraz jego dalszych losów. Pierwszym aktem cesarza było uznanie swobodnego praktykowania chrystianizmu, ponadto uczynił się on protektorem tej religii, która była religią jego matki. Czyż nowy August nie rozgłaszał, że ten *Chrystus* uczynił dla niego oczywisty cud?⁵ I czyż istniał lepszy sposób, by mógł mu się odwdziaczyć? Dodajmy na koniec, że szczerłość Konstancyntyna była faktem niezaprzeczalnym. W całym Cesarstwie chrześcijanie stanowili zaledwie jedną dziesiątą ludności. Czy ktokolwiek zatem mógł mniemać, że cesarz miałby jakikolwiek interes w brataniu się z taką mniejszością, w dodatku prześladowaną i jeszcze nie tak dawno oskarżaną o ateizm oraz wrogą postawę wobec państwa?

Pewnego ranka roku 313 Rzym osłupiał, kiedy obudził się pod rządami człowieka, który wprawdzie nie był ochrzczony, ale uważał siebie w pełni za chrześcijanina.

Ubóstwienie władzy zaszło zbyt daleko, żeby nawrócenie cesarza nie pociągnęło za sobą nawrócenia Cesarstwa. Bardzo szybko zrozumieli to najwięksi spryciarze i zaczął się wręcz nieprzyzwoity szturm na

⁵ Chodzi zapewne o znany cud związany z bitwą przy Moście Mulwijskim (przyp. tłum.).

baptysteria. Przecież trzeba było podobać się panu, a żeby spodobać się temu panu, należało zostać chrześcijaninem.

Dwie grupy ludzi rwały sobie włosy z głowy na widok tego, co się działo: prawdziwi chrześcijanie i prawdziwi poganie. Podobnie jak łączył ich ten sam idealizm i to samo pragnienie czystości, choć trudno im było przyznać to otwarcie, tak teraz przyprawiały ich o mdłości te oportunistyczne nawrócenia dla zysku. Jedni uważali, iż profanowano tym sposobem święte misteria, za które najlepsi spośród nich ponieśli śmierć męczeńską; zdawało się im, że czasy męźnych, silnych i sprawiedliwych należą już do przeszłości, i że ani Kościół, ani świat nie mają w związku z tym powodów do radości. A drudzy byli przekonani, że Konstantyn właśnie zarządził Rzym, odcinając go od wierzeń, które zapewniły mu potęgę oraz chwałę, a ich nieprzejednany patriotyzm znosił prawdziwe katusze.

Ród Aureliuszów stanowił doskonale odbicie tego rozdarcia, które wówczas zapanowało w społeczeństwie rzymskim.

Jeśli jedna gałąź tej rodziny była już od dawna nawrócona – tak jak tego dowodzi chwalebne męczeństwo dziewicy Sotery – bez wątpienia od ponad pięćdziesięciu lat, to druga gałąź wbrew wszystkiemu pozostawała wierna starożytnej religii. Ale znajdujący się po dwóch stronach tego szajca Aureliusze nie należeli do gatunku ludzi, którzy łatwo wypierają się członków swojej rodziny. Przecież w ich żyłach płynęła ta sama krew, wszyscy otrzymali wychowanie na tym samym poziomie i nikomu nawet nie przychodziło do głowy, by obrzucać kłótniami kuzynów należących do przeciwnego obozu. Poza tym, pomimo swych osobistych sympatii Konstantyn wystrzegał się naginania karku elitom pogańskim i dopuszczania się gwałtu na wierzeniach wyznawanych przez większość swoich poddanych. Jeżeli nawet otwarcie faworyzował chrześcijan w ich wspinaniu się po szczeblach kariery, to jednak nie szkodził karierom pogan.

Aureliusz Ambrozjusz był czystym produktem owej polityki Konstantyna, który wspierał adeptów nowej wiary. Dzięki temu mógł przebyć ścieżkę zaszczytów – *cursus honorum* jak się patrzy. Doprowadziła go ona, pomimo jeszcze młodego wieku, do prefektury Galii. W roku 338 zastąpił na tym stanowisku Gajusza Anniusza Tyberianusa⁶.

⁶ To właśnie Paulin – pierwszy biograf św. Ambrożego – wspomina, że jego ojciec, Aureliusz Ambrozjusz, był prefektem Galii. Ale nie dysponujemy żadnym

Dawny rzymski system administracyjny przestał w tamtym czasie spełniać potrzeby Cesarstwa, które przybrało gigantyczne rozmiary, a ponadto było osłabione ze względu na panujący centralizm. W związku z powyższym, począwszy od roku 297 Dioklecjan podjął się reorganizacji państwa, przeprowadzając przy tym nowy podział terytorialny. Wśród innowacji administracyjnych tego cesarza należy wymienić utworzenie dwunastu *diecezji* skupiających poszczególne prowincje oraz podzielenie tychże diecezji między cztery prefektury, co miało wzmocnić całą strukturę. Pierwsza prefektura obejmowała cały wschód Imperium, z wyjątkiem Egiptu, a jej centrum stanowił Konstantynopol. Do drugiej należała niestabilna i trudna w zarządzaniu Iliria wschodnia, wystawiona na nieustanne ataki ze strony plemion barbarzyńskich. W skład trzeciej wchodziły Italia, Afryka oraz Iliria zachodnia. I w końcu ostatnia – ta, która przypadła właśnie Aureliuszowi Ambrozjuszowi – nadzorowała rozległe i bogate terytoria Galii, Bretanii oraz Hiszpanii, a stolica tejże prefektury mieściła się w Trewirze.

Wiele korzyści wypływało z istnienia owych prefektur, a jedną z nich było zniesienie dawnej prefektury rzymskiej oraz jej zbrojnego ramienia, jakim były kohorty pretoriańskie, które haniebnie wsparły Maksencjusza – nieszczęśliwego kandydata do cesarskiej purpury, zmiażdżonego przez Konstantyna podczas bitwy przy Moście Mulwijskim. Od tamtej chwili ośrodki sprawowania władzy znajdowały się z dala od Miasta, ich dawne przywileje obrócono w proch, nastąpił podział władzy cywilnej i wojskowej – ta druga spoczywała w rękach wodzów – a prefektury nie stanowiły już zagrożenia dla cesarza. A to zagrożenie w jeszcze większym stopniu zostało zredukowane, gdy oka-

innym dokumentem, który by ten fakt potwierdził, co sprawiło, że pewni historycy zaczęli w to wątpić. Jednak z dostępnych informacji wynika, że w lipcu 337 roku Gajusz Annius Tyberianus wciąż pełnił funkcję prefekta Galii i że wiosną 341 roku zajął to stanowisko Fabiusz Tycjan. Występuje zatem ponad trzyletnia luka w pełnieniu owej funkcji, a z drugiej strony wiemy, że w tym przedziale czasowym urodził się Ambroży i według Paulina jego przyjście na świat miało miejsce wówczas, kiedy jego ojciec zajmował to stanowisko. Można więc słusznie przypuszczać, że Aureliusz Ambrozjusz rzeczywiście był prefektem Galii i że spuszczenie zasłony milczenia na tego człowieka było związane z jego przedwczesną śmiercią oraz z jego powiązaniem z Konstantynem II, który, jak wiadomo, poniósł sromotną klęskę.

zał się on na tyle przezorny, by powierzać je ludziom, co do których był pewny, iż są oni całkowicie oddani prowadzonej przez niego polityce.

Prefekci byli zazwyczaj wybierani w szeregach arystokracji senatorskiej, nakładano na nich przytłaczające wręcz obowiązki – skupiali oni w swoich rękach władzę sądowniczą, administracyjną, finansową i fiskalną. Wydawali wyroki najwyższej instancji jako przedstawiciele cesarza, którymi byli w rzeczy samej, i z tego tytułu od ich decyzji nie było odwołania. Sprawowali kontrolę nad namiestnikami prowincji, których powoływali i odwoływali zgodnie ze swym upodobaniem. Do ich kompetencji należało wcielanie w życie edyktów cesarskich, jak również zarządzanie *annoną* – absurdalnym podatkiem w naturze, który stanowił podstawową formę działalności fiskusa. I to właśnie do nich należało rozdzielanie tych wpływów do skarbu państwa: wysokim urzędnikom, wojsku oraz organom władzy publicznej.

Ponieważ prefekci sprawowali najwyższą kontrolę nad wypłacaniem żołdu, cieszyli się wielką popularnością w armii. Konstantyn miał słuszną intuicję, wybierając na to stanowisko jedynie ludzi, których wierność nie budziła najmniejszej wątpliwości, potrafiących wznieść się ponad osobiste ambicje. Utrzymanie porządku publicznego, czuwanie nad dobrym funkcjonowaniem cesarskiej poczty, nad utrzymaniem dróg i budynków administracji państwowej – to wszystko również podlegało prefektom, podobnie jak sprawowali oni pieczę nad nauczaniem wyższym oraz nad zaopatrzeniem targów, a także nad licznymi i silnymi korporacjami kupieckimi i rzemieślniczymi. Chcąc podołać tym przeróżnym zadaniom, wspierali się na *militia officinialis*, której struktury były bardzo rozbudowane, a jej zasady funkcjonowania już wiele lat wcześniej upodobniły się do zasad obowiązujących w armii: poprzez stopnie wojskowe, ścieżki kariery oraz żołd. Poniżej prefektów w hierarchii znajdowali się wikariusze sprawujący kontrolę nad diecezjami, a następnie zarządcy cywilni: konsulowie i prokonsulowie, jeśli wywodzili się z arystokracji senatorskiej, oraz zwykli *praeses*, jeśli byli jedynie ekwitami.

Na takie szczyty wzniósł się Aureliusz Ambrozjusz; w rzeczy samej, nie mógł marzyć o niczym więcej. I był tego godzien. Jego urodzenie oraz gigantyczna rodzinna fortuna, złożona głównie z posiadłości ziemskich rozsianych po całym Imperium, a zwłaszcza na Sycylii i w Afryce, dodatkowo spichlerze na zboże w Rzymie, pozwalające rozdawać żywność najuboższym w okresach nieurodzaju i najprzeróż-

niejszych klęsk – to wszystko zapewniało temu młodemu człowiekowi wysoki status społeczny, finansowy i polityczny.

Aureliusz Ambrozjusz posiadał wymagane zalety: samodyscyplinę, inteligencję, niezawodność i powagę, jednak dwie rzeczy bez wątpienia pomogły mu w jego błyskotliwej karierze: wyznawanie wiary chrześcijańskiej oraz zaufanie, jakim darzył go Konstantyn II, który sprawował władzę nad zachodnią częścią Imperium od chwili śmierci swojego ojca Konstantyna, która nastąpiła w roku 337⁷.

Aureliusz Ambrozjusz zawarł małżeństwo odpowiadające swojej pozycji społecznej. Pojął za żonę dziewczynę wywodzącą się z rzymskich patrycjuszy, z rodu o długich tradycjach, która wniosła mu bogaty posag oraz była chrześcijanką tak jak i on⁸.

Z ich związku najpierw urodziła się córka, której nadano imię Marcelina, następnie chłopiec nieco dziwacznie przystrojony, biorąc pod uwagę, że była to chrześcijańska rodzina, w imiona jak najbardziej pogańskie, pochodzenia greckiego: Uraniusz Satyrus⁹. I w końcu w Trewirze przyszedł na świat drugi syn, który na chrzcie otrzymał imiona Aureliusz Ambrozjusz – te same, które nosił jego ojciec¹⁰.

⁷ Daty graniczne pełnienia przez Aureliusza Ambrozjusza funkcji prefekta, w przybliżeniu lata 337-340, odpowiadają dokładnie krótkiemu okresowi sprawowania władzy przez Konstantyna II. Zatem łatwo jest wyciągnąć z tego wniosek, że należał on do ścisłego grona zaufanych ludzi tego władcy i że jego kariera pozostawała nierozzerwalnie złączona z karierą tego cesarza.

⁸ Ambroży nigdy nie wyjawiał imienia swojej matki, ale sądząc po tym, jak swobodnie funkcjonowała w wysokich sferach społeczeństwa rzymskiego, a także biorąc pod uwagę jej ścisłe związki z Kościołem, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że urodziła się ona w Rzymie, w jednym z rodów patrycjuszy, i że była niezwykle pobożną chrześcijanką.

⁹ Z faktu używania w tej rodzinie imion greckich – Soteris (Sotera), Uranius, Satyrus, Ambrosius (Ambrozjusz) – niektórzy historycy wyciągnęli wniosek, nie dysponując przy tym żadnymi innymi dowodami, że ród Aureliuszów posiadał greckie korzenie.

¹⁰ Data przyścia na świat św. Ambrożego wciąż stawia przed historykami nierozwiązywalne problemy. On sam nigdy o niej nie wspomina ani w swojej korespondencji, ani w pozostawionych przez siebie dziełach. Nie wydaje się, aby ta data była znana wspomnianemu już wcześniej pierwszemu biografowi Ambrożego, o imieniu Paulin. Historycy posiadają jednak dwa punkty zaczepienia. Pierwszym z nich jest jeden z listów Ambrożego, w którym mówi, iż właśnie wszedł w pięćdziesiąty trzeci rok swojego życia. Szkopuł w tym, że ów list nie nosi daty. Ale Ambroży czyni w nim aluzję do zamieszek, które w tym

Ambroży nigdy nie był człowiekiem skorym do zwierzeń i wynurzeń osobistych. Zresztą w czasach, w których żył, nigdy nie zwracano uwagi na fakty z dzieciństwa – śmiertelność dzieci była tak wysoka, że nadmierne przywiązywanie się rodziców do nich w tym wczesnym okresie życia mogło przysparzać im zbyt wiele smutku. Dlatego nie należy się dziwić, że nic lub prawie nic nie możemy powiedzieć o pierwszych latach życia Ambrożego, z wyjątkiem jednej tylko anegdoty, która nie uległa zapomnieniu¹¹.

Pewnego letniego dnia, w Trewirze, prefekt Ambrozjusz przebywa na dziedzińcu pretorium. Tym razem chodzi o tak niecodzienne wydarzenie, że nie mogło ono umknąć uwadze. Otóż udaje mu się oderwać na chwilę od swych przytłaczających obowiązków. Prefekt i jego żona spacerują, trzymając się za ręce i rozmawiając przyciszonymi głosami. Marcelina biega przed nimi, skacze, tańczy i śmieje się wniebogłosy. Ambroży, który niedawno przyszedł na świat, śpi w kołysce, którą niania ustawiła w cieniu drzewa. I nagle ta kobieta wydaje z siebie przeraźliwy krzyk, który w jednej chwili paraliżuje młodych rodziców. Odwracają się i na widok śpiącego syna nie mogą wydobyć z siebie ani słowa – tak wielkie ogarnia ich zdziwienie i przerażenie zarazem. Przed chwilą niemowlę zostało nakarmione piersią, a pszczoły przycią-

samym czasie wstrząsają Italią. Jednak historycy nie są zgodni co do tego, o jakie wydarzenia chodzi: albo o jedną z barbarzyńskich inwazji, która miała miejsce w roku 387, albo o przejście tronu przez uzurpatora Eugeniusza – pomiędzy jednym i drugim wydarzeniem występuje różnica sześciu lat... W zależności od tego, czy list pochodzi z roku 387 czy 393, data narodzin Ambrożego może przypadać na rok 334 lub 340. Drugim punktem zaczepienia jest pewien tekst polemiczny autorstwa ariańskiego biskupa Paladiusza, w którym tenże atakuje Ambrożego, oskarżając go o to, iż został kapłanem w wieku zaledwie trzydziestu pięciu lat. Ponieważ znamy datę wyniesienia Ambrożego na tron biskupi, co miało miejsce w grudniu 374 r., należy zgodzić się, jak podaje tradycja, że Ambroży urodził się między listopadem 339 a kwietniem 341 roku, w czasie, gdy jego ojciec pełnił funkcję prefekta Galii, jednak najbardziej prawdopodobny jest rok 340.

¹¹ Chodzi o anegdotę opowiedzianą przez Paulina – sekretarza Ambrożego, który na prośbę św. Augustyna stał się jego pierwszym biografem. Ta historyjka mogła być zarówno opowiedziana przez Marcelinę, jak i od początku do końca wymyślona przez Paulina. Wielu historyków, w rzeczy samej, dostrzega w niej jedynie klasyczne powtórzenie, pojawiające się w innych biografiami powstałych w starożytności, pewnego epizodu z życia poety Pindara. Tę samą historię odnajdujemy również w biografii Platona oraz w żywocie św. Izydora z Sewilli.

gnięte zapachem mleka usiadły na jego twarzy; teraz wlatują i wylatują, zaaferowane, przez małe usteczka. Obydwie kobiety stają się blade jak ściana i jeden tylko pomysł przychodzi im do głowy: przepędzić owady zanim użądła dziecko. Cichym głosem Ambrozjusz mówi im, żeby nic nie robiły. Cała trójka, blada ze strachu, czeka w napięciu, upływają minuty, które dłużą się niesłychanie, zanim rój odleci, kierując się prosto ku niebu, podążając tak wysoko w kierunku słońca, że Marcelina zachowała w pamięci, iż w szybkim czasie zniknął z pola widzenia. Mały Ambroży nie został użądłony i nawet się nie obudził.

Tak długo, jak dziecko było w niebezpieczeństwie, prefekt wydawał się pozostawać niewzruszony i zachowywał zimną krew, co z pewnością świadczyło o skuteczności surowego wychowania, które otrzymał i które serwowano w rodzinach patrycjuszy. Jednak gdy tylko niebezpieczeństwo minęło, ojciec poczuł uginające się pod nim nogi jako skutek przerażenia, którego właśnie doświadczył. Z przerażeniem łączyło się coś w rodzaju świętego lęku, a także w pewnym sensie przesądne myślenie. Choć Aureliusz Ambrozjusz był w pełni chrześcijaninem, to jednak nie przestał być Rzymianinem wciąż bliskim kulturze pogańskiej swojego narodu i dostrzegł w tym przedziwnym wydarzeniu znak zapowiadający przyszłość jego syna. Z jednej strony ogarnięty lękiem, a z drugiej wypełniony ojcowską dumą, popatrzył na delikatną buzię dziecka owiniętego w pieluszki i powiedział:

– Jeśli ten mały będzie żył, na pewno stanie się kimś...

Mijają tygodnie i miesiące, a czas płynie zbyt szybko dla młodego prefekta, który, będąc przeciążony obowiązkami, nie ma możliwości, by patrzeć, jak rośnie trójka jego dzieci. Nawet nieczęsto ma sposobność, żeby wieczorem stanąć w oknie swojej sypialni i popatrzeć w spokoju na Trewir. Ten widok zawsze wypełnia go dumą, gdyż przepych tego miasta wszystko zawdzięcza rzymskiej potędze.

Oczywiście Aureliusz Ambrozjusz zna tę zuchwałą legendę, którą rozpowiadają miejscowi, jakoby Trewir został założony na tysiąc trzysta lat przed powstaniem Rzymu przez babilońskiego księcia Trebeta. Na myśl o podobnych mrzonkach dziedzic Aureliuszów może jedynie się uśmiechnąć. Wie on dobrze, iż to chełpliwe miasto nigdy by nie zaistniało na mapie, gdyby cesarz Oktawian August swego czasu nie zdecydował, że nad brzegiem Mozeli powstanie stały obóz. Przez całe półwiecze Rzymianie dokładali w tym miejscu tak wielkich starań, że pewien historyk żyjący w czasach cesarza Klaudiusza mógł zachwalać

ten przepych panujący w Trewirze, piękno jego świątyń, jego budynków miejskich i znajdującego się tam forum. Przez całe stulecia miasto nieustannie się rozrastało, stając się jednocześnie miejscem węzłowym dla dróg o pierwszorzędnym znaczeniu oraz bardzo dobrze prosperującym portem rzeczny, gdzie przyływały galijskie statki, by zaopatrzyć się w beczki z owym słynnym winem produkowanym na słonecznych zboczach nad Mozela. Na inne okręty ładowano skrzynie z przedmiotami ze szkła i ceramiki, które wytwarzano w lokalnych warsztatach; czasem na owych okrętach przyływali młodzi ludzie spragnieni pobierania nauk w szkołach tego miasta. Ale nie tylko uczniowie nadciągają tam z dalekich stron. Otóż Trewir tak bardzo wzbogacił się na handlu, że liczni kupcy marzą o tym, by wybudować tam dla siebie ociekające przepychem rezydencje, wyposażone we wszelkie ówczesne udogodnienia: w łaźnie, w centralne ogrzewanie, w urokliwe ogrody dające wytchnienie. Nie ma dnia, żeby z Italii lub z Orientu nie przybył do Trewiru jakiś znany architekt w towarzystwie murarzy zdolnych odtwarzać wszelakie cuda, które spotkać można w bogatych willach na południu; albo mozaicysta, który ma tam układać kolorowe posadzki, albo malarz cieszący się wzięciem, któremu powierzono wykonanie pięknych fresków do złudzenia przypominających odtwarzane postacie i sytuacje. Jeden pragnie, by wymalowano mu na ścianach wszystkie przygody Jazona, gdy wyruszył po złote runo; inny chce mieć na posadzce Ledę z łabędziem albo jakieś bachusowe święto.

Termy, niemal dorównujące termom rzymskim, przyciągają tłumy, przy czym już od wielu lat przez wzgląd na przyzwoitość uwzględnia się inne godziny otwarcia dla mężczyzn i kobiet. Prawdą jest, że w Trewirze żyje wielu chrześcijan i że tamtejsze biskupstwo trzyma pieczę nad wszystkimi wspólnotami chrześcijańskimi na północ od Alp. Cesarzowa Helena – wielce pobożna matka Konstantyna Wielkiego – złożyła dar tamtejszemu Kościołowi w postaci dwóch bezcennych relikwii, które przywiozła ze swej pielgrzymki do Ziemi Świętej: Świętą Tunikę Pana i jeden z gwoździ, którymi został On przybity do drzewa krzyża.

Aureliusz Ambrozjusz oraz jego rodzina często modlili się przed tymi wyjątkowymi relikwiami. A jednak ojciec tej rodziny nie był ochrzczony, podobnie jak jego dzieci. Działo się tak dlatego, że grzechy popełnione po chrzcie były uznawane za trudne do odpuszczenia. Niektórzy spośród tych nieprzejednanych i nazbyt rygorystycznych

chrześcijan uważali nawet, że grzech popełniony po przyjęciu chrztu nigdy nie może być odpuszczony i z powodu tego przekonania później zerwali z Kościołem. Oto dlaczego wielu wiernych nie mogło zdecydować się na ten milowy krok w swoim życiu: nie opuszczał ich lęk, a zwłaszcza nie opuszczał on mężczyzn wystawionych na diabelskie pokusy przez namiętności ciała i zgiełk tego świata.

Aureliusz Ambrozjusz bardziej niż kto inny jest narażony na skrupuły sumienia. Jako prefekt pełni funkcję sędziego najwyższej instancji. Nie ma tygodnia, żeby nie musiał nakazać zastosowania tortur lub nie wydał wyroku śmierci. Jakim sposobem pogodzić sprawowanie tak straszliwej funkcji z tym nienaruszalnym prawem, które streszcza się w dwóch słowach: „Nie zabijaj”? Gdyby Aureliusz Ambrozjusz był ochrzczony i nadal brudził swoje sumienie krwią bliźniego, czyż nie zdradzałby wówczas Chrystusa i nie szargał dobrego imienia Kościoła? A gdyby z drugiej strony pozostawał wbrew wszystkiemu wierny lekcji płynącej z Ewangelii, być może ze szkodą dla pokoju publicznego, dla sprawiedliwości i porządku, czyż nie zdradziłby Rzymu? Ten młody prefekt jest chrześcijaninem całym sercem, co wynika także z jego wychowania, jednak nie jest nim poprzez sakrament chrztu. Wybiera dobro publiczne zamiast myśleć o swoim zbawieniu. Jest to jednocześnie dowód, że w przypadku tegoż prefekta Galii służba Rzymowi wciąż góruje nad całą resztą. Aureliusz Ambrozjusz bez wątpienia sądzi, że ma jeszcze na to czas. Przyjdzie taki dzień, kiedy cesarz uwolni go od brzemienia tej funkcji. Wówczas będzie mógł pomyśleć o sobie. Poprosi o chrzest i będzie starał się żyć jak najbliżej świętości, w ascezie, która wśród najgorliwszych chrześcijan zastępuje męczeństwo – tę najprostszą drogę do nieba zamkniętą przez Konstantyna poprzez fakt uznania Kościoła.

Aureliusz Ambrozjusz jednak się myli, bo nie ma już on czasu. Wycofanie się z życia publicznego, odpoczynek, życie na łonie rodziny w ciszy i spokoju domu odziedziczonego po przodkach w Rzymie – nic z tych rzeczy nie jest mu pisane.

Latem roku 337 sukcesja po Konstancynie Wielkim spłynęła krwią. Chcąc uniknąć na przyszłość jakiegokolwiek kontestacji, trzej synowie zmarłego cesarza uznali, że rozsądniej będzie, jeśli wyeliminują wszystkich ewentualnych pretendentów do cesarskiej purpury. Około dwudziestu książąt – braci przyrodnych i bratanków Konstancyna – straciło życie w tych rodzinnych porachunkach. Jedynie w imię

chrześcijańskiego miłosierdzia owi szczęśliwi dziedzice oszczędzili ze swej licznej rodziny, tak nagle przetrzebionej, dwóch małych chłopców – Gallusa i Juliana – przez wzgląd na ich bardzo młody wiek. Jednak zastosowano wobec nich areszt domowy w pałacach położonych daleko od Rzymu, które bardziej przypominały więzienie o pozłacanych naprędce kratkach niż cokolwiek innego. Młody Julian nabierze tam antypatii, niestety uzasadnionej, do tych chrześcijan zdolnych pod przykrywką religii głoszącej łagodność wymordować swoją najbliższą rodzinę.

Brodząc we krwi swych stryjów i kuzynów, trzech synowie Konstantyna podzielili między siebie ojcowiznę. Konstantyn II wziął część zachodnią, Konstancjusz II wybrał Wschód, a najmłodszemu Konstansowi bracia wspomniałomyślnie pozostawili okruchy Ilirii. Po upływie kilkunastu miesięcy Konstans zaczął zadawać sobie pytanie, dlaczego jego starsi bracia mają wszystko, a on prawie nic. Kiedy upłynęło kolejnych kilkanaście miesięcy, jego zawiść skupiła się na Konstantynie, zresztą najłagodniejszym i najbardziej skorym do ugody w całej tej rodzinie, co mimo wszystko nie przeszkadza nam postrzegać go jako bydlaka.

Rzucając wszystko na jedną szalę, w roku 340 Konstans wywołał powstanie w Ilirii i wraz ze swymi oddziałami szybko zaczął zagrażać Italii północnej. Konstantyn II zwołał swe legiony, wyruszył w kierunku Alp i na nic nie bacząc, dał się wciągnąć w pułapkę zastawioną przez młodszego brata. Wpadł w zasadzkę w pobliżu Akwilei i został zamordowany przez żołnierzy Konstansa, który natychmiast ogłosił się cesarzem Zachodu i ruszył do Mediolanu, by tam osiąść.

Po śmierci Konstantyna II Aureliusz Ambrozjusz, prefekt Galii cieszący się wielkim zaufaniem zmarłego cesarza, nie żył długo. Wiosną roku 341 nastąpił po nim w Trewirze Fabiusz Tycjan.

Aureliusz Ambrozjusz zostawił po sobie troje dzieci, z których najstarsza Marcelina nie miała jeszcze wówczas pięciu lat.

Spis treści

Wprowadzenie	5
Rozdział pierwszy Dzień jak każdy inny w Rzymie	7
Rozdział drugi Wielce dostojny Aureliusz Ambrozjusz	13
Rozdział trzeci Rzymskie dzieciństwo	27
Rozdział czwarty Namiestnik Ligurii i Emilii	45
Rozdział piąty Niesłuchany wybór	59
Rozdział szósty Biskup Mediolanu stawia wymagania	79
Rozdział siódmy Pierwsze kroki	97
Rozdział ósmy W obronie Bóstwa Chrystusa	123
Rozdział dziewiąty Zburzyć posągi bożków!	161

Rozdział dziesiąty	
Sprawa Pryscyliana	199
Rozdział jedenasty	
Mistrz i uczeń	221
Rozdział dwunasty	
Ambroży za pulpitem pisarskim	271
Rozdział trzynasty	
Teodozjusz Wielki	289
Rozdział czternasty	
Ambroży sumieniem cesarstwa	323
Epilog	381